

A. LANGE.

Z opowiadań więźnia.

—(o)—

(ciąg dalszy)

— To bardzo łatwa i prosta rzecz. Oczywiście, będziesz miał twarz zasloniętą, i on, niby ten kramolnik, tak samo. Ani ty nie widzisz jego, ani on ciebie. To już nasze naczalstwo tak kazało przez delikatność. Prowadzą zbója pod słupek, a tu już powrozy przygotowane. Sznur mocny — nie oberwie się, nic się nie bój — i na kółku umocowany, a kółko nazywa się blok — chytra niemiecka mechanika. Więc on kładzie głowę w sznur — ty go ciągniesz w górę — on idzie za powrozem, jak każę sprawiedliwość — nogami w powietrzu pofika, pofika — i koniec! A ty sobie w świat — i wódka i tabaczka, las i łąka, ryby i grzyby — wszystko twoje.

— A dla czego ty tego nie robisz?

— Jakże mam to robić, kiedy moja służba inna — i nawet mi nie wolno. Był u nas poczciwy kat, Szczukisynow, zręczny, wprawny. Robota jego była czysta i akuratna. Ale go Hospod Bog powołał do swej chwały, bo za wierną służbę dla cesarza pewnie że poszedł do nieba. No, zgadzasz się, czy nie?

— Nie. Trudno powiedzieć. Nie wiem, jak się to robi. Nie mam praktyki.

— A długo tu siedzisz?

— Bo ja wiem. Już b. dawno.

— Dziesięć młesięcy. Bo wzięli cię we wrześnie.

— Długo — długo!

— Może już na całe życie.

— Tfy!

— No, chcesz wódki — chcesz kotleta?

— Nie — idź ty — czort jesteś — i tyle...

— Nie chcesz — to nie! Masz czas do jutra — do czwartej rano. Gnij tu sobie, balwanie jeden!

Siermion zabrał tacę z wytwornym jadem, a pozostawił chleb i wodę. Fiedor pozostał, i, powoli gryząc chleb, gadał sam do siebie, do czego przywykł w samotności.

— Tfy — mówił — co za czort! Kusi a kusi. Grzech zwałić chce na moją duszę... Zamyślił się.

— Całe życie tu — w tym więzieniu. Oj, na swobodę, na wolę! Tak tam ładnie — na tych polach, na łąkach... a to słońce, a woda — nasza Oka — aż do matuszki Wolgi mógłbyś nią dopłynąć... Ostatecznie — to nie jest taka trudna rzecz... Za sznur pociągnę — ten idzie w górę — nogami pofika — i koniec! Przecież każdy umrzeć musi: tak albo inak!.. Jakże jestem zmordowany. Ale gdzie są moje dzieci... Hospodi pomiluj, hospodi pomiluj!

I runął na swoją prycę — i zasnął snem twardym i niespokojnym.

* * *

W niezbyt gęstym, przeważnie brzoźowym lesie, pod wsią Woronowem, w gubernji kałuskiej była dość obszerna polana, na której miało się odbyć tajne zebranie rewolucjonistów pod wodzą dwóch głównych działaczy. Jednym z nich był Aleksy Maziuk, student medycyny; drugim Miron Telega, kandydat praw.

Pierwszy przyszedł Aleksy z narzeczoną swoją Marfą, córką popa z Kaługi. Wraz z nimi przybył też stary wieśniak, w łapciach i tulupie, wielkibrody, mocny i zdrowy chłop.

Nikogo jeszcze na polanie nie było, a młodzi ludzie zaczęli na starego nalegać, aby raczej gdzieś indziej się przeniósł.

— Słuchajcie, ojcie — mówił Aleksy — wy się lepiej z tych stron oddalcie, bo tu będzie wielki ruch, i policja może się do was przyczepić.

— Ta, cóż mi staremu zrobić? Sześćdziesiąt lat żyję na świecie. Nikomu ja nic nie winowaty. A wy, to co robicie.

— Nie pytajcie nas o to. Powiemy wam później.

— Bo niechciałbym ja, żebyś ty był z naczalstwem w niezgodzie. Zawsze rząd — to rząd. Trzeba go szanować. Ale wam uczonym w głowie się przewróciło. Zagraniczne mody chce u nas zaprowadzić. Wszyscy wołają: Swoboda, swoboda! a nam tu żadnej swobody nie trzeba, bo to czartowska rzecz. My nie francuzy ani niemcy.

— No — odrzekł Aleksy — niech tam ojciec myśli jak chce. My jesteśmy bardzo ostrożni i nie nam złego się nie stanie.

— Ale ojciec — dodała Marfa — może ucierpieć niewinnie.

— Już ty, moja gołąbko — odparł na to stary — nie lękaj się o mnie. Co ma być, to będzie. Bóg czuwa nad spokojnym człowiekiem. Nie ruszę się stąd — zostanę w domu.

— Jak tam chcecie — rzekła panna. — Wasza wola.

— Mam ci ja w domu nie mało roboty. A to kosić, a to siać, a to krowa, a to koń, a to ul... Jak we młynie. No, bądźcie zdrowi, a tylko za dużo nie gadajcie, bo was do turmy wezmą, jak Tymofeja z Zielonej wsi. Niech was Bóg ma w swojej opiece.

Póżegnali się w końcu bardzo serdecznie, i stary poszedł w kierunku wsi do domu.

Aleksy i Marfa pozostali sami. Od początku rewolucji oboje się oddali na jej usługi. Pochodzili z ludu, kochali go i wleźli w jego wyższość duchową. Żyli wciąż w błękitnych marzeniach o rewolucji. Miłość ich była gorąca i namiętna, ale ponad tą miłością promieniało marzenie.

— Patrz, Marfo — mówił Aleksy — jaka to piękna zorza błysła naszemu narodowi.

— To słońce — odparła dziewczyna. — To początek naszego odrodzenia. Teraz dopiero Rosja pokaże światu, co to znaczy Rosja.

— Pewnie. Dotychczas świat był pogrążony w ciemności i materializmie. My otwieramy nową epokę świata, epokę słowiańską, panowanie ducha.

— To wielka prawda, ani narody łacińskie, ani germańskie, nie mają tego poczucia wszechczłowieczeństwa, jakie jest w nas, w ludziach ruskich.

— My dopiero stworzymy to bogoczwłowieczeństwo, którego świat oczekiwał.

— Rosja przez Boga jest wybrana, aby światu ogłosić nową ewangelję. Bóg w każdej epoce zamieszkuje w duszy innego narodu; dzisiaj jego siedzibą jest Rosja.

— Marfo — zawołał Aleksy w zachwycie — jakże piękna jesteś, gdy to mówisz.

Marfa stała na polanie zaróżowiona całą, a jej jasne błękitne oczy promieniały jak niebo przed południem, w dzień wiosenny. Złote jej włosy w blasku słońca zdawały się jakby otoczone jasną aureolą. Suknia jej była skromna, szaro-niebieska, ale wewnętrzne światło nadało Marfie dziwny majestat. Nie bez wpływu, być może, było tu uczucie miłości dla Aleksego. Czula się w natchnieniu.

— Ja widzę prawdę — mówiła. — Rozumiem duszę naszego ludu, a to dusza święta.

— Tak, święta! To jedyne słowo, którym można określić tę wielką tajemnicę. Jaka jest dusza ruskiego ludu.

— Komu zaś — rzekła z uśmiechem bardzo słodkim Marfa — komu, jak nie tobie zawdzięczam to wielkie przemienienie mej duszy, żem wyszła z atmosfery mego ojca; z wiecznych zapachów ładanu i jeteju lampek cerkiewnych... Ach, jakżem się dusiła... Ty mi dopiero otworzyłeś oczy na te szerokie widnokręgi. Miron też mi niejedno powiedział, ale to — co innego, zupełnie co innego. Wiesz, choć go bardzo cenię, bo to człowiek meżnego serca, stanowczy, czynny, w robocie pewny, to jednak nie mam do niego zaufania; coś mię od niego odstęcza. Chciał być moim mężem... Ale nie, nie! Ciebie kocham, Aleksy, tylko ciebie.

Aleksy, obejmując ją w pól, mówił do Marfy pięciwym głosem:

— Ja cię kocham więcej, bo tylko miłość moja ku tobie nadała mi tę pewność, z jaką uwierzyłem w nową prawdę — i zacząłem ją szerzyć wśród ludu.

— Piękny — zawołała Marfa — jest świat, co się rodzi w promieniach miłości.

— Piękna jest miłość.

— Słuchaj — szepnęła dziewczyna — przysięgnijmy sobie raz jeszcze, że się nigdy nie przestaniemy kochać.

— Ach — odparł Aleksy — czy wątpisz choć na chwilę — nie, ale słodko mi jest przysięgać wciąż na prawdę, w którą wierzę.

I zaczęli sobie na nowo przysięgać wieczną miłości; zaczęli się namiętnie całować. Ale nie jest to rzecz rozważna całować się w miejscu, gdzie się za chwilę ma odbyć zgromadzenie.

Jakoż w chwili ich pocałunków, wystąpiła osoba trzecia, przytem nieco podrażniona tym objawem miłości.

Był to Miron Telega, wysoki, mocny brunet, o twarzy nieco żółtawej. typu Peczeniega. Ironicznie się odezwał:

— Ślicznie, moi zakochani państwo. Tu przygotowują się ważne sprawy, a wy tylko o pocałunkach myślicie. Smuci mię to głęboko, bo widzę, jak nie poważny jest wasz stosunek do naszej sprawy.

— Dlaczego? — zapytała Marfa. Wszystko u nas ożyło, wszystko zmartwychwstaje. Czemuż ma umrzeć miłość i pocałunek? Nadchodzi wiek powszechnej miłości — królestwo Boże sprowadzamy na ziemię. Mamże się wstydzić swych uczuć?

— Inaczej mówiłaś do mnie wcale niedawno, Marfo lłarjonówno. Ale nie chcę o tem wspominać. Czas nie po temu; i nie czas myśleć o pocałunkach. Za małą godzinę zbierze się tu ze dwadzieścia osób i mało będą mówić o miłości. Ich główna myśl, to zamach na gubernatora.

Aleksy potrząsnął głową zaprzeczająco.

— Jestem przeciwny temu zamachowi.

— Albo więc — odparł Miron — jesteś niedołęgą, albo stronnikiem rządu.

— Sam wiesz najlepiej, że jedno i drugie jest nieprawdą. Uważam, że zabójstwo przedstawiciela rządu może być czasem koniecznością, ale tu nie ma tej konieczności. Wam chodzi tylko o wrzawę, efekt, popularność i nic więcej. Ja będę protestował.

Na to Miron, jakby rozgniewany, podniesionym głosem rzecze:

— Ja będę głosował za zamachem i zobaczmy, kto więcej głosów zyska.

— Gubernator tutejszy jest zerem — i śmierć jego nie przyniesie sprawie najmniejszej korzyści.

— Wielką korzyść: przerazi władzę, ukaże jej naszą potęgę, podniesie ducha ludu. Tak samo byliście przeciwni podpalaniu dworów i lasów, a jednak, skoro tylko hasło było dane — nie was słuchał lud, jeno mnie. Kto chce mieć za sobą lud, ten musi działać na jego wyobraźnię.

— Ale działanie to bywa często bezpłodne. Pozory działania — wyników brak zupełny. Tworzycie mrok. Nie zrobicie nic.

— Więcej niż wy — zgrzytliwie odparł Miron.

Marfa mu przerwała:

— A żołnierze dwudziestu ludzi zabili, 70 — wtrącono do więzienia.

— Ofiary są konieczne. Śmierć jest dobrą gospodynią.

— Ale — zaznaczyła Marfa — niedobrze jest, gdy gospodaruje zbyt długo.

— Skończmy jednak — rzekł Miron. — Nie czas na gawędy. Idźcie w stronę Jeleniego Jaru, tamtędy idą nasi ludzie, za pół godziny bądźcie z nimi tutaj. Ja czuwać będę z tej strony, bo tu się włóczy straż ziemską.

Aleksy z Marfą poszli we wskazanym kierunku — Miron zaś, patrząc za nimi okiem pełnym nienawiści, śledził, jak daleko być mogą. Nareszcie zauważył, że muszą już być dość daleko; rozejrzał się dokoła, usta złożył w osobliwy sposób — i zaczął naśladować głos kukulki.

— Ku kul ku kul!

Tuż w pobliżu polany gęste krzaki się poruszyły — i po paru chwilach wyszedł z gąszczy rotmistrz Iwanow i paru żołnierzy. Miron zapytał rotmistrza:

— Jesteście gotowi?

— Oczywiście. Chcemy tę sprawę załatwić jaknajprędzej.

— Więc uważajcie. Naprzód ukryjcie się należycie. Dziesięciu ludzi wystarczy. Będzie dziś bardzo gwałtowny. Główny winowajca, to Aleksy: on zabił Kantarowa i Samojedowa. Dam wam znak: pokłócę się z Aleksym — i strzelę niby do niego. Wtedy macie drogę otwartą. Idźcie też do starego Fiedora, bo u niego tam i broń i proklamacje i broszury. Wszystko zakopane w ogrodzie, gdzie słoneczniki. Trzech ludzi wystarczy.

— No, bratku, — powiedział rotmistrz — dostaniesz za to Stanisława. Dowidzenia. Chłopcy, a trzymać ucho wostro.

Poczem wojskowi zniknęli w krzakach bez śladu, a Miron zaczął pogwizdywać.